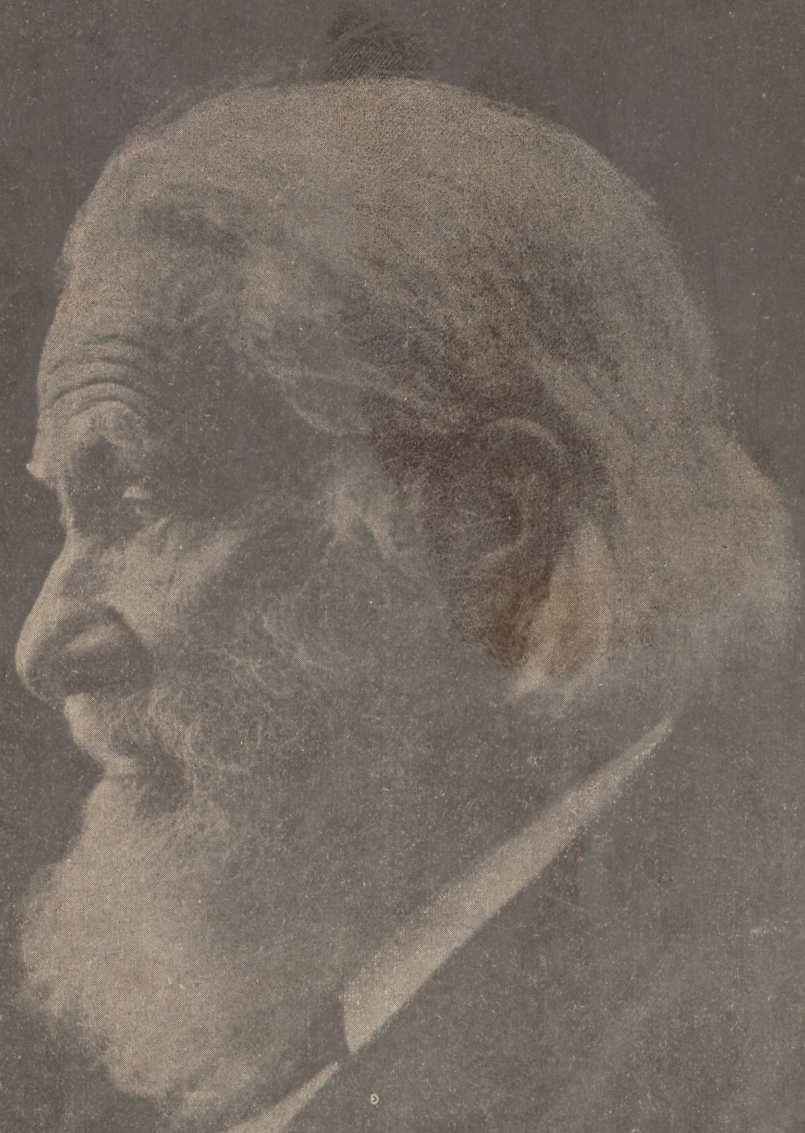


CENA Mk. 2.50. — K 4.50.

N<sup>o</sup> 1

ROK 1



*Wł. Mickiewicz*

REWISTA

Drukarnia i Księgarnia  
FR. FOLTIN  
w Wadowicach

# PIERWSZY KONKURS „REWJI“.

Niniejszem ogłasza się

## KONKURS NA AKTUALNE ZDJĘCIA MIGAWKOWE

np. ruch uliczny, jarmarki, życie na froncie, sceny przy pracy i t. p.

Najbardziej pomysłowe i artystyczne prace otrzymają nagrody:

- I. nagroda 1000 mk. (2000 kor.)
- II. nagroda 500 „ (1000 kor.)
- III. nagroda 300 „ (600 kor.)
- IV. nagroda 200 „ (400 kor.)

Inne prace będą nagrodzone listami pochwalnymi.

Konkurs niniejszy dostępny jest tylko dla fotografów-amatorów  
W skład sądu konkursowego oprócz redakcji „Rewji“ wejdą najwybitniejsi przedstawiciele świata artystycznego.

Prace konkursowe należy nadsyłać pod adresem „Rewji“ do dnia 1. marca 1920 roku. Fotografje winny być opatrzone godłem i dokładnymi objaśnieniami. Należy również dołączyć w zamkniętej kopercie z tem samym godłem nazwisko wysyłającego i adres.

W następnym numerze ogłoszone zostaną szczegółowe warunki konkursu nauki języka angielskiego dla prenumeratorów „Rewji” ❖❖

Redaktor naczelny: STANISŁAW DZIKOWSKI. Redaktor na Małopolskę: ARTUR SCHROEDER.

REDAKCJA: WARSZAWA, Krakowskie Przedmieście 16/18 m. 25. — LWÓW: Hotel George'a (H. Altenberg)-  
Prenumerata łącznie z przesyłką (od 1. stycznia 1920 r.): rocznie Mk. 100.— K. 200.—; półrocznie Mk. 55.— K. 110.—; kwartalnie Mk. 30.—  
K. 60.— Cena pojedynczego numeru Mk. 2.50 K. 4.50.

PRENUMERATA DO KOŃCA ROKU 1919: Mk. 20 — K. 35 —.

ADMINISTRACJE:  
Warszawa, Krak. Przedm. 9.  
Lwów, Hotel George'a.  
Kraków, ul. Szczepańska 7.  
Poznań, pl. Wolności 3.

# REWIA

WYDAWNICTWO KSIĘGARNI  
E. Wende i Ska - Warszawa  
H. Altenberg, G. Seyfarth,  
E. Wende i Ska - Lwów,  
M. Niemierkiewicz - Poznań.

Rys K. Mackiewicza



Żołnierze poznańscy na jednej ze stacji litewsko-białoruskiego frontu

## IMPRESJE WILEŃSKIE

..... W infule, z pastorałem w dłoni, przykuwając wzrok do wspaniałej postaci, a serca do słów gorejących najczystszy patriotyzmem, wołał ks. arcybiskup lwowski Teodorowicz z ambony w katedrze wileńskiej:

— Wesel się, wesel, o Alma Mater wileńska, święcąc zrekowiny swe z wiedzą i nauką!...

I weselono się, do głębi dusz weselono się w Wilnie podczas niezapomnianej uroczystości wskrzeszenia słynnego uniwersytetu, którego fundamenty kładł swą potężną dłonią król Batory, którego zręby podtrzymywali nieśmiertelni Filareci, a odzyskanego nam przez bohaterskie legjony Piłsudskiego, urosłe w okrytą laurami armję polską, łączącą się z narodem w zwycieskim swym pochodzie, aż po naidalsze rubieże zmartwychwstałej Ojczyzny.

Weseliło się Wilno, weseliło się do głębi dusz wespół z Polską cała — jak ona rozkochana oblubienica rzucająca się w objęcia Hymenu i wołająca w odchodzącym od zmysłów unoieniu:

— Byle przeżyć z nim, z droższym nad życie, dzień, dwa, tydzień, miesiąc... A potem — potem niech się co chce dzieje!

\*

Niebyło w uroczystościach wileńskich momentu, jako spektakl, piękniejszego nad pontyfikalną celebrę w katedrze. Żywy obraz Matejki! Tylko to, a więcej nic.

Co za presbiterjum! Ci purpuraci kapituły wileńskiej w stallach nie ustępujących wawelskim! Tam — sam: fiolet biskupi. Oto wysoka postać, tak nadzwyczaj rzymska, ks. Michalkiewicza, b. administratora djecezji wileńskiej. Na sobie ma płaszcz purpurowy protopostarza apostolskiego. Ks. biskup miński Łoziński z zapuszczoną (podczas tułania się po lasach w ucieczce przed bolszewikami) krótką brodą, jakby wycięty z prastarego portretu któregoś z legatów papieskich na dwór ostatniego z Jagiellonów lub pierwszego z Wazów. Dokoła rozpięte bezcenne gobeliny. Na tronie biskupim w lewo od wielkiego ołtarza J. E. książę arcybiskup krakowski Sapieha, rasowy w każdym calu karmazyn, w złoto-srebrnych szatach pontyfikalnych, jak z najprzedniejszej kości słoniowej wyrzeźbiony. Co za linja najprzelotniejszej nawet pozy, co za dystynkcja łaciny wymawianej odrobinę z włoska, co za gest, co za majestat, co za urok! A to pachole w kapie, trzymające pastorał? Zkąd-że je mógł widzieć Beniure y Gil, malując swe hiszpańskie rozmigotane i poprzebóstwiane nabożeństwa? Nawprost tronu biskupiego, po przeciwległej stronie wielkiego

ołtarza: Piłsudzki. Boże! Jak to wszystkie oczy piją, piją i dość napić się nie mogą jego widoku! Tą oto szablą, na której stoi wsparty podczas czytania Ewangelji, wyrąbał z najstraszliwszej opresji Wilno a wespół z Wilnem i kraj swój najrodzeńszy i najukochańszy, I oto, aż tu, przed ten ołtarz żarzący się niezliczonym światłem, na to miejsce, królewskiemu równe, zawiodła go oszałamiająca, zawrotna, a jakże przepiękna, iście napoleońska karjera. We dwa rzędy generalicja cała za nim, a jeszcze głębiej ściana urodziwych adiutantów-ułanów, a z lewa i z prawa najpierwsi Polski znów niepodległej dygnitarze. Na wodzu Naczelnym (napoleońskim obyczajem) szaro-stalowy, zgola bez ozdób żadnych, płaszcz oficerski. Twarz mocna, niezmiernie męska, wyrazista, zamknięta w sobie zwiśnięciem nad oczyma brwiami, surowa, a nie sroga — i przedziwnie pociągająca. Primus inter pares! A preste i urok, z których powstaje najgłośniejsza sławy aureola: legenda — już od niego biją...

Asysta dostojnego celebransa z niczrównaną (tradycyjną zresztą w katedrze wileńskiej) precyzją toczy nad wyraz wszelki wystawne nabożeństwo ku finalnemu *Ite missa*. Dymy trybularzów teraz już z lekką zamglili przepyszny obraz, upodabniając go do wizji — nie z tego świata. Po przez opary kadzidel czerwienięją nawprost ołtarza płaszcz rektora i prorektora, migają ponsowe kołnierze — kapy dziekanów, bieleją gronostaje peleryn, złocą się insygnja uniwersyteckiej władzy rozprostarte na poduszkach z białego atlasu; białą plamą odcina się w pierwszym rzędzie honoracjiów siwa, o rozwianym włosie, głowa Władysława Mickiewicza... Wszystko przedziwnie stonowane, zharmonizowane, jakby ręka mistrza Ruszczyca przeszła po tem... „płótnie“.

Msza skończona. Wyszędłszy ze stał, przywdział tuż u tronu biskupiego pontyfikalne szaty ks. arcybiskup Teodorowicz i poprzedzony przez Certum quantum kleru, idzie boczną nawą ku kazałnicy.

Zastygł na tronie swym książę Sapieha. Nawprost niego w spiż się zamienił na fotelu swym Wódz Naczelny. Jeszcze po generalicji przeleci raz i drugi szcęk trąconych szabel, a jw. pan marszałek Sejmu ręce dwakroć rozłoży zanim ie na piersiach definytywnie skrzyżuje...

U biskupiego tronu lekko oparł się o stalle: cały w szamerowaniach na czarnym mundurze, z szeroką przez piersi wstęgą czerwoną o białych brzegach, z kapeluszem w ręku stosowanym o siirusich piórach, jedyny na Litwie

i Białejrusi wysoki urzędnik Stolicy Apostolskiej, szambelan papieski p. Bolesław Skirmunt z doszczętnie przez wojnę zdewastowanej, święciańskiej Szemetowszczyzny.

Nieobjęty tłum zalegający katedrę zachwiał się, i cały obrócił w stronę ambony, zawieszony jak w ciemnym debie rzeźbione wielkie gniazdo jaskółcze, u środkowego filara, na wysokości tak znacznej, aby głos z niej sięgał aż w najdalszy wspaniałej świątyni zakątek a zamtąd każdy wzrok mógł swobodnie dojrzeć kaznodzieję...

\*

.... W ogromnych białych salach pogenerałgubernatorskiej rezydencji pałacowej — ciżba. Osób tysiąc; może tysiąc z górą. Naczelnik Państwa wydaje raut grandioso dla wszystkich gości Wilna, a i o wileńskich notablach oczywiście nie przepominając.

Co za zgromadzenie! w Wilnie! W tych oto komnatach, gdzie giał przed sobą karki słuźalce Murawjew, zkąd na kraj ciemiężony sypały się dekrety carskich satrapów! Co za przemiana z wszechwładnej Opatrzności woli!

Idziesz przez tłum — jak przez Polskę całą. Arcybiskupi, biskupi, rektorowie wszechnic krakowskiej, warszawskiej, poznańskiej, lwowskiej, lubelskiej prezydent stołecznej Warszawy i prezes jej Rady miejskiej... ministrowie.. postowie suwerennego sejmu polskiego z marszałkiem swym na czele.. wojskowych huk... profesorowie, uczeni literaci, dziennikarze... czoło ziemiaństwa t. zw. Ziem Wschodnich... niezliczona ilość dam. Dokoła Naczelnika Państwa nieustanny cercle, tłoczek nieustanny dokoła Władysława Mickiewicza, któremu się nikt dość napatrzeć nie może. Prawie równą „atrakcję“ stanowi 85-letni Bolesław Limanowski. A któżby niechciał choćby popatrzeć na Adama ks. Czartoryskiego dzonogo wnuka wielkiego kuratora, na generała Szeptyckiego, na generała Rydzę-Smolego, na dygnitarzy, na różnych „wielkich ludzi“. Per Bacco! A toż ci tam we framudze okna stoi w czarnym płaszczu i charakterystycznym na głowie kołpaku sam prawosławny biskup Eiełf rjusz wiodący ożywiony dyskurs z krakowskim rektorem, księdzem Zimmermanem.

Ach! Gdyby tak cień Murawjewa przesunął się nagle po przez tę ciżbę — po tych parkietach, stukając w tafle pałką historyczną... i tak szedł po przez rozstępujący się tłum, aż przed Piłsudskiego. I schylił się przed nim powoli — i znikł...

Sen — mara.

Oto cały szereg wysokich okien pałacowych zajaśniał jak od pożaru. Okna

ploną. To pochodniowy korowód kolejarzy okrąża ogromny dziedzińiec i bije luną w okna rezydencji Naczelnika. Wspaniały widok!

— Co za serca mają ci ludzie! Co za serca!

Po ciżbie rautowej przebiega jakby prąd elektryczny. Gdyby się nie powstrzymywano, zatrząsłyby się mura-wiewowskie sale jednym, z tysiąca piersi okrzykiem:

— Niech żyje Piłsudski!...

Wygrałeś sprawę, polski Garibaldi. Jużes go nawet prześcignął, bohatera z pod Aspremonite; już ty odprawiasz Pierwszy swój Konsulat po drodze... na jakież jeszcze wyżyny?

A stoły, uginające się pod jadłem i napojem, coraz stają się lżejsze, lżejsze... Topnieją sterty owoców, wysychają do cna w butelkach najprzedniejsze ratafie; jakiś „wicher dziejowy“ zmiata stopy misternych butersznitów i młyńskie kamienie tortów. Widać że festyn ma się ku końcowi.

Rozpływa się tłum. Rzednieje. Teraz dopiero spostrzegasz jego zewnętrzną pstro-ciznę. Zkąd — na dworze Naczelnika Państwa, podczas najwystawniejszego przyjęcia! — wzięły się te pidżaki, te tużurki, sukienki wełniane, spodnie w paski, ba, krwaty kolorowe!

Rzekłbyś, że jak w onej przepowieści z Pisma: „Wyszedszy słudzy jego na drogi, zebrali wszystkie, które należeli, złe i dobre, i napełnione są gody siedzącymi“. Nie rozkazywał że przeciw Naczelnik Państwa sługom swoim: „Idźcie na rozstania dróg i którzykolwiek najdziecie, wzywajcie na gody“?

U wejścia do pałacu stało dwóch żołnierzyków kontrolujących zaproszenia. Zaledwie sięgnął po portfel w zanadrze, już żołnierz uprzejmie machał ręką:

— Proszę wejść, proszę wejść!

Wybornie. Polska się ceremonji zrekła. Czy jednak nie należałoby stawiać u podwoi recepcjonalnych salonów Naczelnika Państwa Polskiego choćby najskromniejszego mistrzyka ceremonji, któryby kładł — o, najdelikatniej w

świecie! — tamę zbytniemu w stroju sans fason?

Możeby w Belwederze nad tem pomysłano.

Loindubal.

Wieczór. U wejścia do ogrodu Bernardyńskiego w Wilnie dokazuje garść wyrostków.

Pytam jednego z nich, smyka najwyżej trzynastoletniego o rezolutnej postawie i roztropnej twarzy: czy graja jeszcze w teatrze Letnim?

— W teatrze już niet spektaklej! — odpowiada mi po rosyjsku.

Oburzam się.



Major Marjusz Laruński, D<sup>ca</sup> 11 pułku Włocławski  
Z powodu umyślnego wrzucenia przez niego Wilno uciekał na 11 p. Wł. — rzeczywisty wyborczyca i świadek i bohater.

— Co ty mnie po rosyjsku odpowiadasz! — mówię podniesionym głosem. Nie umiesz mówić po polsku?

— Nie umiem! — on znowu po rosyjsku.

— To się naucz.

— Dlaczego?

— Bo tu Polska, nie Rosja.

— A co-żeś ty myślał? Widziałeś tu wszędzie orły? O ilu głowach? Umiesz liczyć, to policz.

W gromadce zakłótało się. Coś tam ten i ów odrzyknął po rosyjsku. Pobiegli. Jam też poszedł. Po chwili dogoniłem malców. Idę za nimi. Słucham. Mówią między sobą po żydowsku.

Tedy wszczynam znów dialog:

— A toś ty żyd, choć na żyda nie wyglądasz? Czemuś mi nie odpowiedział po żydowsku?

Na to malec wcale znośnie po polsku:

— Bo — powiada — wolę mówić po rosyjsku!

— A żydzi w Warszawie mówią wybornie i chętnie po polsku. Musisz wiedzieć o tem.

— Bo urodzili się w Warszawie.

— A ty, gdzie-żeś się urodził?

— W Wilnie.

— No, zatem...

— Wilno to żadne polskie miasto. To główny gorod — poprawił się — to stolica Litwy!

— Któż cię tego nauczył? W rosyjskich podręcznikach szkolnych musiałeś to wyczytać.

— I w żydowskich!

Wykręcił się na pięcie i biegł szybko jakby zmykając od ewentualnego trzepnięcia po uszach.

Po nim pomknęli młodziutcy jego rodacy-towarzysze.

Od dnia 11-go października, od daty wskrzeszenia wszech-nicy Batorego, rozbrzmiewa w każde południe z wileńskiej wieży katedralnej — hejnał krakowski.

Słuchasz cierpliwie i mówisz sobie:

— No, jak na początek... wcale nieźle!

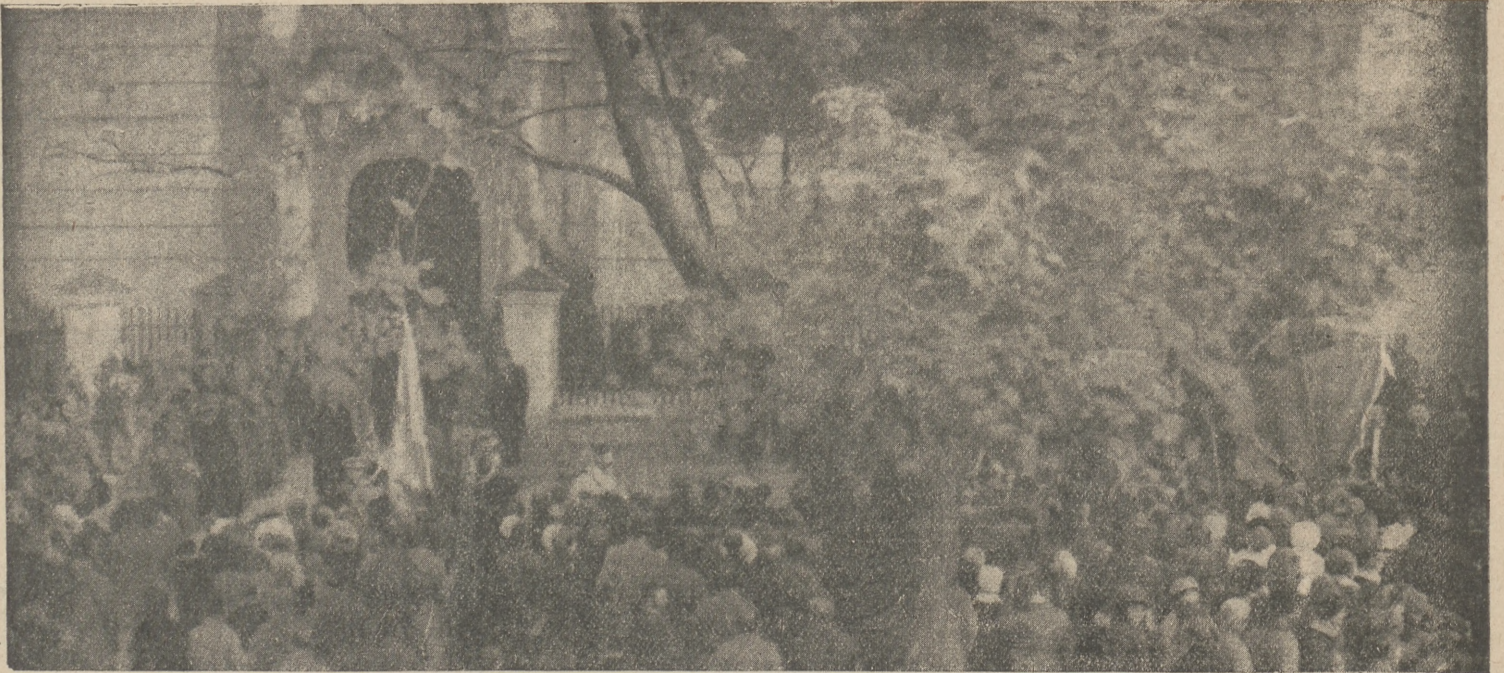
Choć niewprawy trębacz wileński raz po razu potknie się o fałsz zjadliwy, choć precyzja wykonania bardzo, bardzo jeszcze daleka od cudnej, pełnej przedziwnego uroku melodji rozplywającej się nad Krakowem z marjackiej wieży...

Cz. Jankowski.

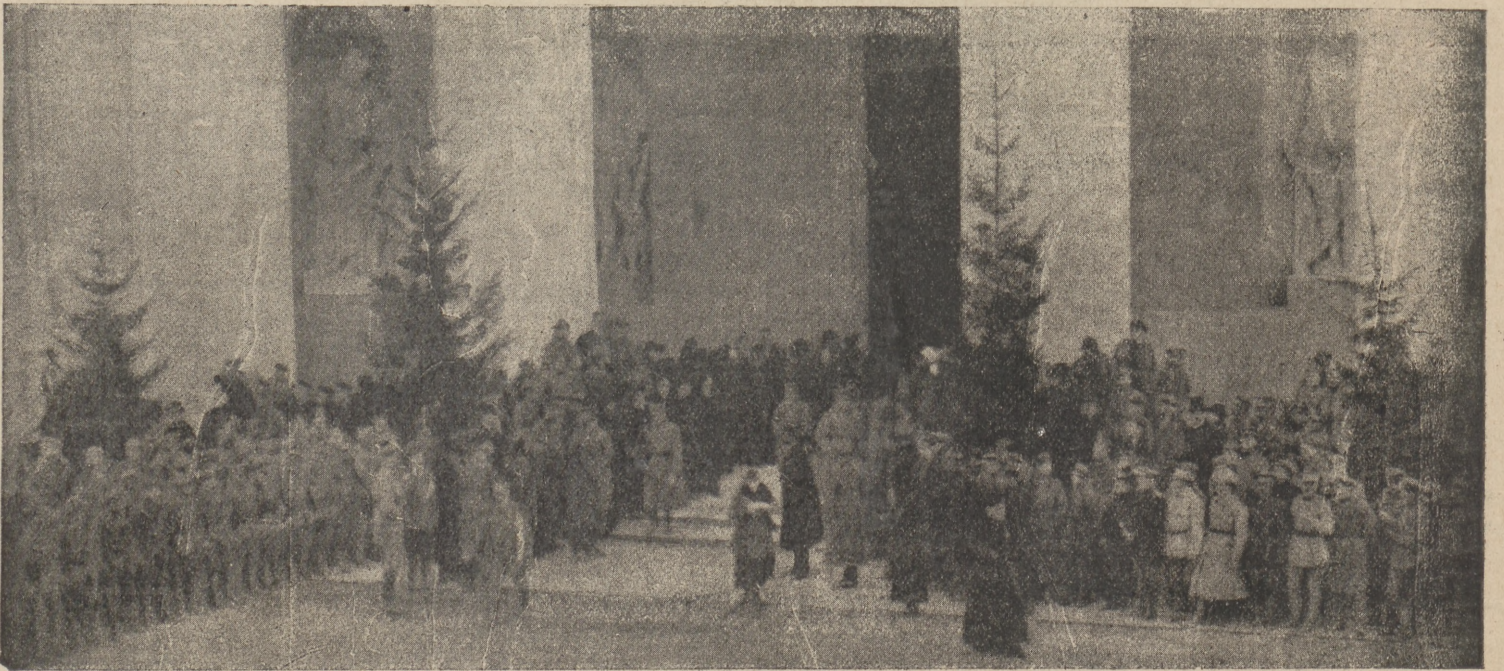
## OD WYDAWNICTWA.

Trudności, z jakimi każde wydawnictwo musi walczyć w pierwszych chwilach swego istnienia, wskutek anormalnych obecnych warunków, urosły dla REWJI do przeszkód zdawałoby się nieprzewidywanych. Strajki, brak papieru, cynku, kwasów i t. d. nie pozwoliły na postawienie wydawnictwa od początku na tym poziomie, na jakim stać ono będzie w przyszłości. Też same trudności uniemożliwiły umieszczenie w 1-ym N-rze gotowego już materiału ilustracyjnego, dotyczącego uroczystości poznańskich i pożaru Teatru Rozmaitości.

UROCZYSTOŚCI W WILNIE  
OTWARCIE UNIWERSYTETU im. STEFANA BATOREGO



*Z kościoła uniwersyteckiego św. Jana wśród szpaleru tłumów wychorzą uczestnicy uroczystości  
zdzążający do auli.*



*Przed murem sławnej katedry wileńskiej w karnym ordynku stanęła warta honorowa, u wyjścia grono osób  
cywilnych, oczekujących wyjścia uroczystego pochodu.*



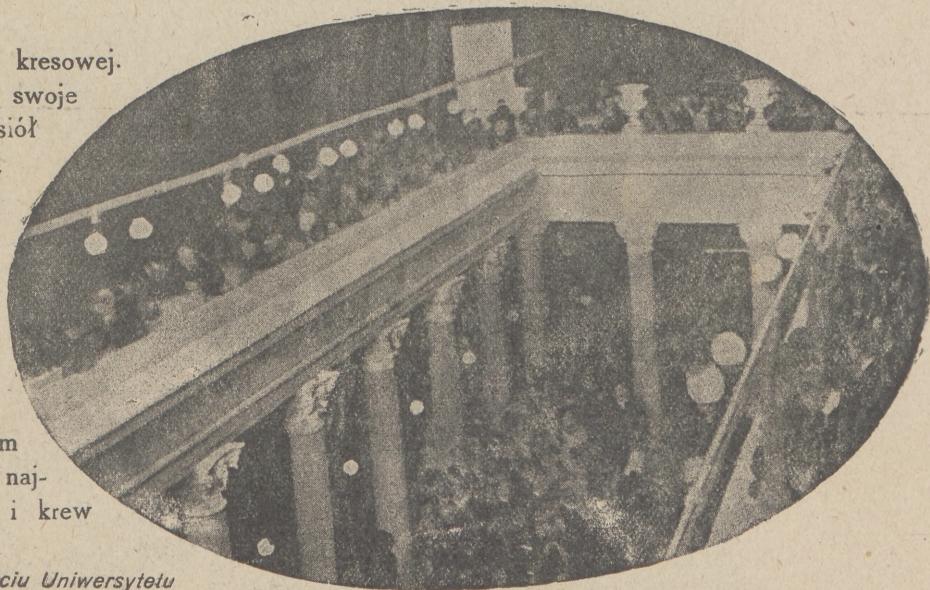
U góry: Cechy na podwórzu uniwersyteckim.

Z boku: Przejście przez podwórze uniwersyteckie z kościoła św. Jana do auli.

Na dole: Mowa Naczelnika Państwa w auli uniwersyteckiej.

„Losy tych murów są losami tej ziemi kresowej. Wszystkie narody, wszystkie państwa mają swoje kresy, nieszczęśliwe i zmienne są losy tych siół kresowych: Gdy wicher się zrywa, wstrząsa posadami przedewszystkiem ich budowli, gdy chmura się zbierze, ostry grad siecze przedewszystkiem ziem kresowych łany, gdy grzmi piorun przedewszystkiem tu w wieżycy i domy uderza. Tam, w polskiem środowisku rodzimej kultury być może ludziami słońce jeszcze wschodzi, gdy tu już noc czarna panuje, gdy zima śnieżnym całunem cały naród przykryła, tu zima i mrozy są naj-sroższe, tu właśnie oddech ludziom ona tamuje i krew w żyłach ścina“.

Z mowy Naczelnika Państwa na otwarciu Uniwersytetu w Wilnie.





Poświęcenie  
sztabu przez  
JE. Ks. biskupa  
Michalkiewicza



w krągach  
katedry i wręcze-  
nie tegoż sztan-  
daru dowódcy  
pułku





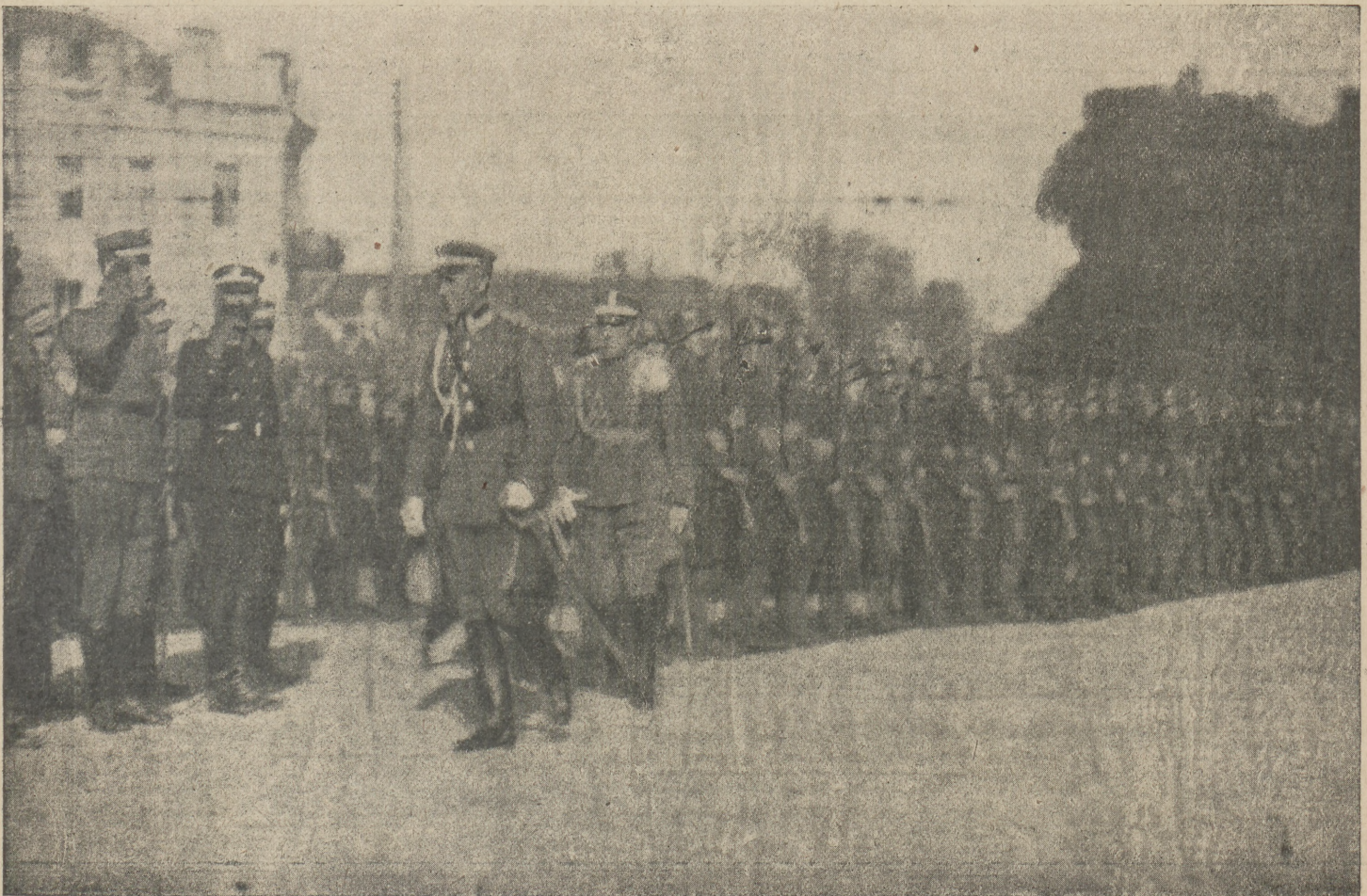
*Rotmistrz Bzowski (1 p. strzelców konnych) składa gratulacje majorowi Zaruskiemu*



*Major Zaruski z adjutantem por. Żuławskim na czele defilującego szwadronu*



*General Rydz - Śmigły podczas defilady wojsk.*



*General Rydz - Śmigły przed szeregami, zebranymi dookoła katedry.*

## Z OSTATNIEJ PODRÓŻY

Na stacji w Innsbrucku por. Świrski, adj. Naczelnika Państwa, Jan Kar-szo — Siedlewski, sekretarz Prezy-denta, starszy żandarm Borkowski i p. Prezydent



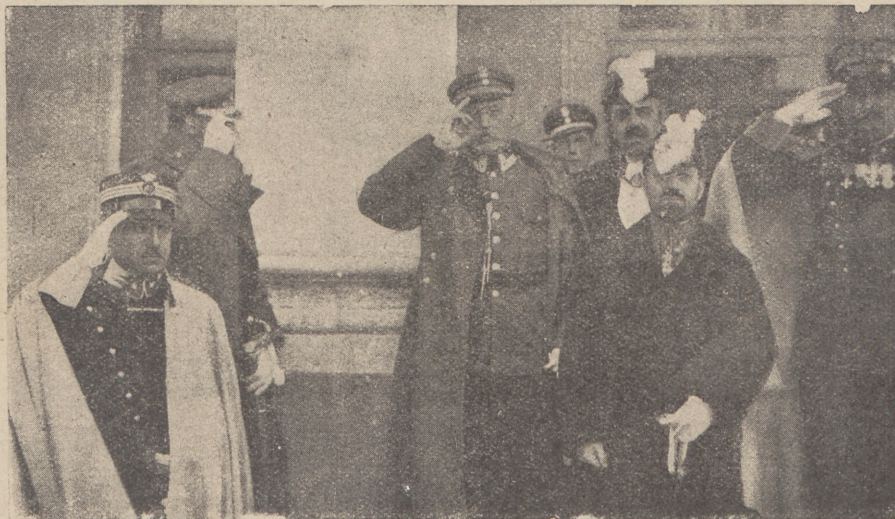
Jenerał włoski dowódca korpusu okupacyjnego złożył w Innsbrucku wizytę prezydentowi

## PREZYDENTA MINISTRÓW

W Wiedniu p. Paderewska rozdaje chleb głodnym dzieciom



## POSEŁ WŁOSKI W WARSZAWIE



Poseł włoski Tomasini opuszcza Belweder po wręczeniu listów uwierzytelniających. Posłowi towarzyszą: margrabia Compans de Brichanteau, Kpt. Fanchini, attaché wojskowy Kpt. hr. Pauozinno, Kpt. hr. Vicino-Pallavicino i gen. Jacyna,



SWIĘTO ZJEDNOCZENIA ARMJI POLSKIEJ W KRAKOWIE

*Przybycie Naczelnika Państwa. General Haller. Po Mszy polowej. Armaty ukraińskie dookoła Wawelu. Przed dworcem kolejowym,*



*W Sukiennicach. Prezentuj broń! Banderja Krakusów.*

## LEGJA KOBIECA WE LWOWIE

1. W okopach
2. Przy armacie
3. Na warcie
4. Pluton legionistek
5. Przy karabinach maszynowych pod kopcem Unji Lubelskiej.

fol. Jan Münz.



1



2



4



3



5



J. E. Ks. biskup Łoziński bolszewikami w chłopskim należono 100.000 nagrody, wszystkich dekanatów na przez całą ludność. Od dolową w Mińsku.

ukrywał się w Mińsku przed przebrani. Na głowę jego Obecnie odbył on wizytację Polesiu, witany owacyjnie prawil też pierwszą Mszę



U góry: INGRES W PIŃSKU

U dolu; PIERWSZA MSZA POLOWA w MIŃSKU

ORYGINAŁ BLANKIETU PASZPORTOWEGO. WJAKI MIAŁA BYĆ ZAOPATRZONA LUDNOŚĆ MIĘASTA WILNA

№ \_\_\_\_\_

Исполнительный ОТДЕЛ УПРАВЛЕНИЯ Исполнительного Комитета  
 1918 г. Раб. в Кр. Арм. Деп.

ПАСПОРТНЫЙ СТОЛ  
 № \_\_\_\_\_  
 ВРЕМЕННОЕ УДОСТОВЕРЕНИЕ ЛИЧНОСТИ № \_\_\_\_\_

Отдел Управления спм удостоверяет что предьявитель сего

Имя \_\_\_\_\_  
 Родимств. \_\_\_\_\_  
 Дата \_\_\_\_\_ 1918 г.

Пол \_\_\_\_\_  
 Возраст \_\_\_\_\_ лет

Дано с подписями и приложением печати \_\_\_\_\_  
 1918 года с \_\_\_\_\_ мес.

Собственноручная подпись владельца удостоверения \_\_\_\_\_

Особые предметы \_\_\_\_\_

Директор Отдела Управления \_\_\_\_\_  
 Заведующий Подотделом Гражданских Дел \_\_\_\_\_  
 Секретарь паспортного стола \_\_\_\_\_

W takie paszporty miała być zaopatrzona ludność miasta Wilna; gdyby panowanie bolszewików trwało tam w dalszym ciągu.





## PRZELUDNIENIE

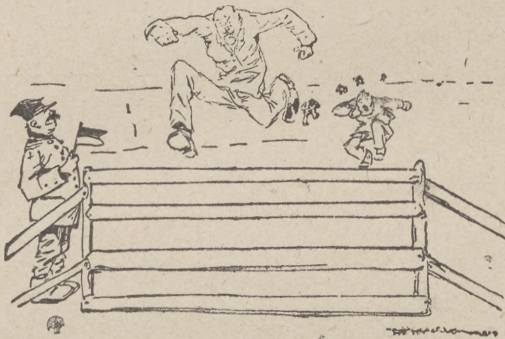
Ledwie zdołał odszukać Hilarego w Alejach. Wybitny ekonomista siedział na ulubionej ławie, albo raczej unosił się nad nią w powietrzu, wypierany przez energicznych sąsiadów. Był tak spłaszczony, że go ledwie poznał.

— Mam wrażenie — rzekł zdławionym głosem młody erudyta — że mi tu dają s e r a, jak w gimnazjum. Cóż... signum temporis!

Mury miasta, ściany domów wginają się albo wyginają pod niesłychanym naporem ciżby ludzkiej. Suma algebraiczna ogonków warszawskich wytworzyłaby już dzisiaj ogon tak potężny, że biegłby za naszą planetą w przestrzeni, jak biegnie warkocz za kometa Halleya. Przeciętny tramwaj miejski przypomina gałązkę, na której raczyła spocząć królowa ula w czasie wyjazdu — jest poprostu oblepiony istotami ludzkimi i traci swój kształt i kolor naturalny. Na ulicach brzmiały wszystkie narzeczka ziemi, wszystkie dżalektki i pocziwa nasza wieża ciśnień ludzi się chwilami, że jest wieżą Babel. Ludzie, wypełniwszy doszczętnie mieszkania, komórki, strychy, sklepy, piwnice, lokują się w kabinach dźwigowych, gniazdach wronich, w balonach na ulicy. W teatrach, ze względu na bezpieczeństwo publiczne, nakazano politycznie grać „Czar“ Batailla i „Romans“ Sheldona. Nie pomogło — na obu sztukach widownia była wypełniona do ostatniego miejsca. I im bardziej wityny z afiszami teatralnymi przypominają okna wystawowe księgarenek na ś-tokrzyskiej, tem pełniej jest na widowiskach. Wszelka makulatura, wszelkie dyalogowane „senniki egipskie“ „hygieny niódowych miesięcy“ znajdują zapalonych zwolenników. Kabarety i kinematografy muszą wpro-



dząć specjalne ograniczenia dla publiczności, w pewne dni tygodnia sprzedają bilety wyłącznie blondynom wyznania mojżeszowego, w inne — młodzieży płci obojga, niezaopatrzonej nazimie w posadę państwową. Na operę i operetkę wolno chodzić jedynie tym, którzy nie znają jeszcze „Żydówki“, „Trubadura“, „Pajaców“, nie wiedzą, że królowa Bona umarła i nie słyszeli o Wilsonie. Mimo to jest pełno. W cukierniach zaopatrzonego krzesła w specjalne mechanizmy zegarowe, które po dziesięciu minutach wyrzucają automatycznie tak zwanego gościa z zakładu. Mimo to tłok jest tak wielki, że o poważniejszej wymianie zdań marzyć nie można, dyskusja polityczna u Lourse'a jest mytem i legendą i, co za tem idzie, opinia publiczna u nas przestała istnieć. Ilość zawieranych małżeństw maleje zatrważająco: młodzi nie wiedzą, gdzie właściwie mają sobie wyznaczyć to, co sobie wyznaczyć powinni. W najbardziej dotąd odludnych miejscach — w „Zachęcie“, w „Bibliotece publicznej“ — nikt się nikomu spokojnie o-



świadczyć nie może. Wszelkie spacerki i przechadzki, tak sprzyjające ongi, rozwojowi uczuć towarzyskich i matrymonialnych, należą do przeszłości. Człowiek, który wyszedł na ulicę, wpada odrazu w jakiś mocny prąd, w jakiś rwący Malstroem, który każe mu zrezygnować z własnej woli i krążyć godzinami po mieście wraz z tłumem.

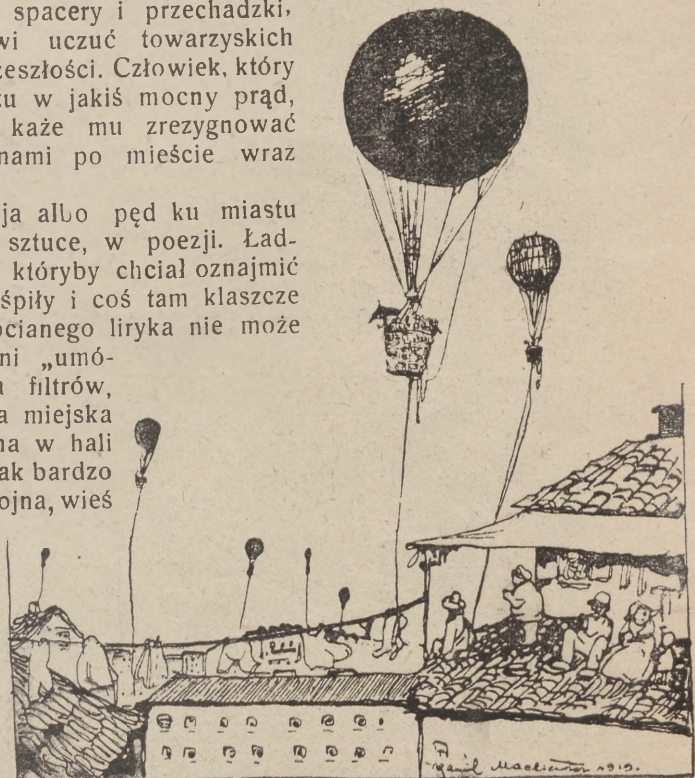
Ciekawe, że owa grawitacja albo pęd ku miastu zaznacza się wyraźnie nawet w sztuce, w poezji. Ładnieby się wybrał dziś młody liryk, któryby chciał oznajmić współczesnym, że oto psy się uśpiły i coś tam klaszcze za borem. Tematem dla młodocianego liryka nie może już być Filon ani księżyc, ani „umówiony jawor“, ale jedynie stacja filtrów, tramwaj wpoprzek ulicy, rzeźnia miejska w świetle lamp łukowych, wiosna w hali targowej, jesień na Muranowie. Tak bardzo reklamowana dawniej wieś spokojna, wieś wesoła straciła wszelki urok. Wschody i zachody słońca, pola, malowane zbożem rozmaitem i inne cuda przyrody są dobre, ale po dzienniku Paté i przed dramatem z Erną Moreną. Ludzie powojenni wolą deptać wyboiste bruki, niż kwietne łąki.

Mówią też, że wkrótce natura zbankrutuje zupełnie. Słońce przestanie rozpałać tęczę, wyłacać pola, księżyc nie będzie wschodził nad umówionym jaworem. Bo i poco? dla kogo? Świat będzie się składał z wielkiej ilości szarych miast, wypełnionych po wręby urzędnikami państwowymi. O wschodzie ukaże się na niebie w promiennej aureoli ceduła giełdowa, o zachodzie zabłyśnie wśród obłoków czerwonym światłem wykaz państwowej centrali dewiz. Nocą, wzdłuż Mlecznej drogi, świecić będzie seledynowym blaskiem raport P u z a p u obok sprawozdania wydziału walki z lichwą i spekulacją. Dyszel Wielkiej Niedźwiedzicy utonie całkowicie w cenach maksymalnych, jej koła oprą się o gwiazdzisty spis towarów, wolnych od rekwizycji. Suchotnicze drzewka miejskie rzucą będą jesienią na wiatr pożółkłe, szeleszczące korony au-tryjackie i ruble dumskie... Kawatek poletka i nieco niesfałszowanej trawy znajdzie miłośnik przyrody chyba gdzieś na Polu Mokotowskim, gdzie w dni pogodne odbywać się będą wyścigi piesze o posady rządowe — bieg dwulatków (nagroda: stanowisko kancelisty i deputat żywnościowy), wyścig dżentelmeński z płotami o posadę ambasadora w Taiti, nagroda „pocieszenia“ dla ludności cywilnej, pozbawionej protekcji.

Zawodowa i zawiedziona inteligencja, wyparta ze wszystkich stanowisk, osiedli się w Zgierzu i Pabianicach.

Tu dał ostatecznie za wygraną i wstał z ławki.

Br-w-er.





Rys. K. Grusa

SCEPTYCY



— Szalenie ucziwy ten Benesz, odrzucił gotówkę dziewięciu milionów koron.  
— Phi! to żadna sztuka, zna przecież wartość austriackiej korony.

## HERBERT CLARK HOOVER

Gdy w sierpniu tego roku Hoover jechał do Warszawy, cała prasa, cała opinia witała tego dyktatora żywnościowego, jako męża opatrnościowego, który znękaną wojną Polskę niesie pomoc aprowizacyjną.

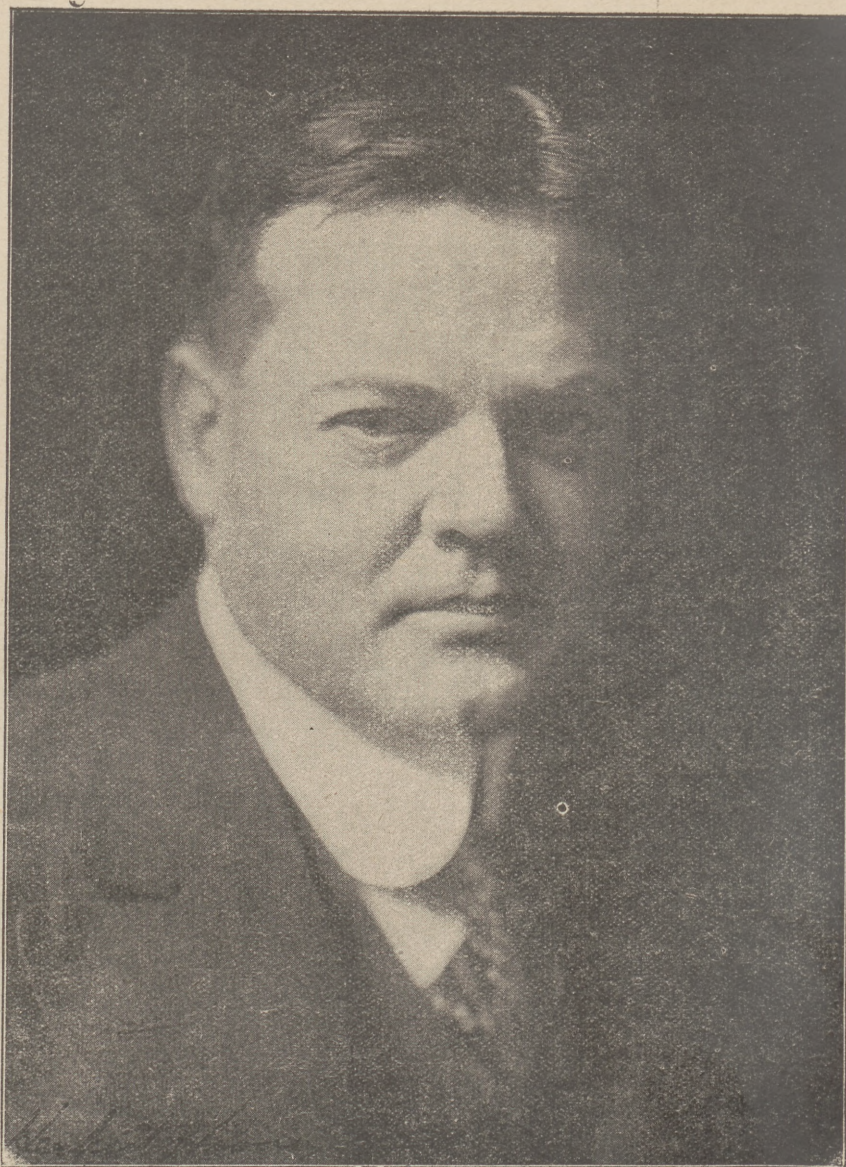
Jako dyktator żywnościowy Hoover stanął wobec zadania, którego nie każdyby się podjął, którego wielu się ulękło. On, Amerykanin stanął do walki z potwornym widmem głodu zagrażającego bytowi Europy. Wojna straszna i żarłoczna pochłonięła wszystkie zasoby nagromadzone przez seereg pokoleń, zniszczyła warstwy pracy, a niezmiernie przestworza urodzajnej Ziemi-żywicieli legły ugięte. Zniszczone zostały w znacznej części podstawy pracy odtwórczej.

Przedewszystkiem zaś zniszczone zostały i dalszem zniszczeniem zagrożone główne jej narzędzie: człowiek.

Tego człowieka ratować, tę możność odrodzenia ocalić, ukrzepić, nowymi siłami uposażyć — oto szczytne zadanie wielkiej Ameryki, a Hoover jej posłannikiem.

Dziś, gdy znowu do wrót naszych puka widmo nędzy i głodu, „wielki żywiciel“ amerykański spieszy znowu, jak doniosły dzienniki, z wydatną dla nas pomocą, organizuje transporty żywnościowe dla Polski, wysyła do nas swych emisariuszy, a nawet podobno ma po raz drugi zawitać do naszego kraju.

Polska umiała być zawsze wdzięczną, umiała pamiętać wszystkie dobrodziejstwa zagranicy i umiała czcić tych, którzy dobrodziejstw byli szafarzami. Z radością też i z wdzięcznym sercem powita ponowny przyjazd Hoovera.



*Pierwsi absolwenci Szk. Podchorążych w Warszawie*





PIERRE BENOIT

## ATLANTYDA

ROMANS

NAGRODZONY NA KONKURSIE AKADEMJI FRANCUSKIEJ.

Jeśli niniejsze kartki ujrzą kiedykolwiek światło dzienne, sprawi mi to niezmierną radość. Dostateczną tego rekojmnią będzie zwłoka, jaka poprzedzi ich wydanie.

Co się tyczy zwłoki, nie chciałbym aby mylnie osądzono, w jakim celu zastrzegam ją sobie. Można z całą pewnością zaufać memu twierdzeniu, że miłości własnej autora zupełnie nie wiążę z tymi gorączkowymi kartkami. Dawno już jestem niezmiernie daleki od tego rodzaju spraw, ale, doprawdy, nie mogę dopuścić, aby inni udawali się w drogę, z której ja nie powróciłem...

Czwarta godzina rano. Wkrótce jutrzeńka rozpali ponad hamadą swoją różową pożogę. Wokoło mnie bordż spi przez wpułtuchylone drzwi słysze spokojny, ach tak spokojny oddech Andrzeja de Saint-Avis.

Za dwa dni wyjeżdżamy: on i ja. — Opuszczamy bordż. Udajemy się głębiej na południe. Rozkaz ministerjalny przyszedł wczoraj rano.

Obecnie, choćbym nawet pragnął tego, zapóźno się cofać. Andrzej i ja domagalimy się tej misji.

Pozwolenie, o które ubiegałem się w porozumieniu z nim — w obecnej chwili stało się rozkazem. Decyzja władz nadeszła, wpływy ministerstwa zostały zmobilizowane — i wszystko to miałoby się stać dlatego, aby w ostatniej chwili, lękać się i cofać przed podjętym zadaniem?

Lękać się — powiedziałem. Wiem, że się nie lękam. Nocą, w Gurara, gdy znalazłem moich watołników zamordowanych, z białaczami, naznaczonymi straszliwym cieniem berberów na krzyż — bałem się. Wiem, rozumiem podjętym zadaniem?

Jednak w tej chwili, gdy patrzę w mrok niezmierny, skąd niedługo wychyli się olbrzymie słońce purpurowe, wiem, — iż drzę — nie z trwogi. — Czuję, jak zмага się we mnie odraza a jednocześnie pociąg do tej tajemnicy.

Nadejdzie może dzień gdy odczy-

dło rozgorączkowanego mózgu i oczu obalamuconych przez miraże.

Nadejdzie, może dzień gdy odczytam te kartki z pobłażliwym uśmiechem człowieka pięćdziesięcioletniego, odczytującego dawne, bardzo dawne listy.

Przywidzenia. Złudzenia. Lecz te przywidzenia i złudy są mi drogie. „Kapitan Saint-Avis i porucznik Farrieres — głosi depesza ministerjalna — postarają się określić rozkład białego piaskowca i wapniaku węglowego w Tassili. Jednocześnie skorzystają z tych badań, aby otrzymać wiadomości o zmianach, zaszłych w stosunku Adżerów do naszych wpływów“.

Gdyby ta podróż nie miała innego, głębszego, jak te małoważne sprawy, celu, czuję — że nie pojechałbym napewno.

Jednakże muszę sprawdzić to, czego się domyślam i byłbym zawiedzony, gdybym nie znalazł się twarzą w twarz z tym, co mnie wprowadza w stan dziwnego drżenia.

W głębi doliny Ued-Mia odzywa się szakal. Od czasu do czasu, gdy srebrny promień księżycy przedrze się poprzez skłębione od upału chmury, wyrastając na wielkie, żółte słońce — turkawka grucha w gaju palmowym.

Słysząc kroki. Wychylam się z okna. Cięż spowity w połyskliwą czarną materję przesuwa się bez szelestu po ubitym tarasie małej warowni. Błysnęło światło. Człowiek zapala papierosa. Przysiadł, zwrócony ku południowi. Pali.

Jestto Segheir-ben-Szeik, nasz przewodnik, który za trzy dni poprowadzi nas na nieznaną wzgórze tajemniczych Imoszaoch, w krainę hamad z czarnego kamienia, olbrzymich palm uschniętych, piaszczystych, matowozłoty wzgórz, które podnoszą się, gdy dmie wicher podzwrotnikowy w krainę drżących, falistych powierzchni białych piasków.

Segheir-ben-Szeik! To jest ten człowiek.

Przychodzi mi na myśl tragiczny występ ze wspomnień Duveyriera: „pułkownik włożył stopę w strzemień i w tej samej chwili otrzymał nagłe pchnięcie szabli...“

Segheir-ben-Szeik! On jest tam. Pali spokojnie papierosa, papierosa z paczki, którą mu dałem, Boże! Przebacz mi tę przewrotność.

Fotofor rzuca na papier swe żółte światło. Kapryśne przeznaczenie, — to samo, które nie wiem z jakiego powodu zdecydowało pewnego dnia, osiemnaście lat temu, ażebym wstąpił do szkoły Saint-Cyr — zrobiło mnie kolegą Andrzeja de Saint-Avis.

Mógłbym studjować prawo, lub medycynę. Mógłbym być dzisiaj jednym z ludzi spokojnych, żyć w cichem mieście z kościołem i wodą bieżącą. A jestem cieniem dziwacznym, odzianym w bawełnę, walczącym z niewypowiedzianym niepokojem, w pustyni, która go pochłonie.

Wielki owad wpadł przez okno. Brzęczy, obija się o mur tynkowany i kulę fotoforu — wreszcie, zwyciężony z opalonemi skrzydłami od płomienia świecy, która jest jeszcze dość wysoka, spada na białą kartkę, tam...

Jestto chrząszcz afrykański, dziwaczny, czarny, z szaro-sinemi piętami.

Myślę o innych, o braciach jego we Francji tych chrząszczach brunatno-złotawych, które widziałem w upalne wieczory letnie, wirujące, jak małe kulki słoneczne — w mojej rodzinnej wiosce.

Dzieckiem będąc, spędzałem tam wakacje; później — urlopy. W czasie ostatniego, po łąkach, stąpała obok mnie powiewna, biała postać spowita w szal muślinowy z powodu wieczorowego chłodu.

Obecnie, poruszony wspomnieniem, pozwałam na chwilę zawisnąć moim wejrzeniom w ciemnym kącie pokoju, gdzie na nagim murze błyszczą szkło portretu.

Czuję, że to, co zdawało mi się być moim obowiązkiem na całe ży-

cie — straciło swoje znaczenie. Najgłębsza tajemnica mego serca, niestety, od tej chwili, nie ma dla mnie wartości.

Gdyby wędrowni śpiewacy Rolla przyszedli pod okna bordżu nucić swoje dziwaczne i tęskne melodje, wiem, że nie słuchałbym ich; nawet odpędziłbym ich, gdyby mi narzucali swe pieśni zbyt natrętnie.

Co sprawiło tę zmianę?

Historja pewna, dziwna opowieść, opowiedziana przez kogoś, na kogo rzuca ona straszliwe podejrzenia.

Segheir-ben-Szeik skończył papierosa. Słyszę go, jak miarowym krokiem zbliża się do swej maty w budynku B., na lewo, obok warty.

Wyjazd nasz postanowiony jest na 10. listopada. Rękopis, dołączony do listu, zacząłem w niedzielę, dnia 1-go a skończyłem we czwartek dnia 5-go listopada 1903 roku.

*Olivier Farrieres*  
porucznik 3 p. spahisów \*

## Rozdział I.

### Posterunek na Południu.

W sobotę, dnia 6. czerwca, 1903 r., dwa niezwykle zdarzenia przerwały monotonię życia w Hassi-nifel: przyszedł list od p. C., oraz świeże numery Dziennika Urzędowego Rzeczypospolitej francuskiej.

Czy pan porucznik pozwoli — spytał wachmistrz Chatelain — zbierając się do przejrzenia pisma, z którego zerwał już opaskę.

Skinąłem głową potakująco, zatopiony w odczytywaniu listu panny C.

„Gdy pan ten list otrzyma — pisało to miłe dziewczę — mama i ja będziemy już zapewne na wsi — opuszczamy Paryż. Jeśli w pańskim osamotnieniu może być pewną pociechą myśl, że ja nudzę się tak samo, jak pan, to niech się pan cieszy. Najwyższa nagroda na tegorocznych wyścigach już została wygrana. Ja stawiałam na konia wskazanego mi przez pana i oczywiście przegrałam. Przedwczoraj byliśmy na obiedzie u państwa Martial de la Touche. Był także Elias, który zawsze wygląda zadziwiająco młodo. — Przesyłam panu ostatnią powieść, która wywołała wielkie zainteresowanie. Zdaje się, że państwo Martial de la Touche są w niej odmalowani po mistrzowsku.

Ostatnimi czasy zaczytywałam się utworami Bourget'a, Loti'ego, France'a oraz dwóch czy trzech sił, mo-

dnych w tutejszym świecie kawiarnianym.

Co się tyczy polityki, mówią, że podobno zastosowanie prawa o kongregacjach może napotkać poważne trudności. W dziedzinie teatru nic nowego. Zaprenumerowałam sobie na lato Illustration. Co pan o tem sądzi...

Na wsi niewiadomo, co robić. Codziennie te same nieciekawe sprawy, z partją tenisa w perspektywie. Nie będzie to wcale zasługą z mej strony, jeśli zechcę często pisywać do pana. Niech mi pan zakomunikuje swoje spostrzeżenia o małym Combemale'u.

Nie jestem, żal się Boże, feministką, gdyż zbyt wiele mam zaufania do osób, które twierdzą, że jestem ładna — zwłaszcza do pana... Lecz wściekam się na myśl, że gdybym sobie pozwoliła z którymkolwiek z naszych wiejskich chłopców na drobną cząstkę poufałości, które pan zapewne stosuje w obcowaniu z kobietami Uled-Nails.... Ale idźmy dalej! Bywają urojenia zbyt przykre“.

Byłem właśnie w tym punkcie przy młodej emancypantki, gdy zmusił mię do podniesienia głowy pełen oburzenia okrzyk wachmistrza:

— Panie poruczniku!

— Co tam?

A do licha! Dobrzy są, ci w ministerstwie. Niech pan spojrzy!

Podał mi Dziennik — przeczytałem: „Na mocy rozporządzenia z dnia 1-go maja 1903 r. kapitan de Saint-Avis (Andrzej) zostaje odkomenderowany do 5-go pułku Spahisów i mianowany komendantem posterunku Hassi-Inifel“.

Zły humor Chatelain'a doszedł do niebywałych rozmiarów.

— Kapitan de Saint-Avis — komendantem fortecy! I to fortecy, której nic nie można zarzucić. Uważają nas widocznie za miejsce zesłania!

Zdziwienie moje dorównywało niemal zdziwieniu podoficera. Lecz w porę spostrzegłem złośliwą twarz Kuny, Sourrut'a, szeregowca z karnych oddziałów, którego używaliśmy do pisania w kancelarji. Przestał on bawgrać i słuchał z nadzwyczajnym zainteresowaniem.

Panie wachmistrzu — rzekłem sucho. Kapitan de Saint-Avis jest moim kolegą.

Chatelain skłonił się i wyszedł za drzwi. Poszedłem za nim.

No, stary, — rzekłem, uderzając go po ramieniu — bez roztkliwiań. Nie zapominaj, że za godzinę wyruszamy do oazy. Trzeba się poważnie zabrać do poprawienia naszej kuchni!...

Wróciwszy do kancelarji, oddaliłem Sourrut'a skinieniem ręki. Gdy pozostałem sam, szybko dokończyłem czytania listu panny C., a następnie, wzięwszy Dziennik Urzędowy, raz jeszcze odczytałem rozporządzenie ministerstwa, które dawało posterunkowi nowego zwierzchnika.

Od pięciu miesięcy pełniłem tę funkcję z całym zrozumieniem odpowie-

dzialności, ciężącej na mnie i wielce cenilem swoją niezależność. Muszę sobie przyznać, że pod moim kierunkiem służba odbywała się zupełnie inaczej, niż za czasów poprzednika de Saint-Avis, kapitana Dieulivol, pułkownik stary szkoły, podoficer Dodds'a i Duchesne'a, był człowiekiem dzielnym, niestety miał nadmierny pociąg do mocnych likierów. Nikt nie było oszczędniejszym od niego w zużywaniu wody posterunku. Pewnego ranka, gdy kapitan przygotowywał sobie absynt w obecności wachmistrza — Chatelain, mając oczy skierowane na szklanekę kapitana, spostrzegł ze zdziwieniem, że zielona barwa likieru zbladła, z powodu dolania większej, niż zwykle ilości wody. Chatelain podniósł głowę, czując, że dzieje się coś niezwykłego. Kapitan Dieulivol, siedząc z karafką w dłoni, patrzył spokojnie na wodę, która spływała do szklanki wielkimi kroplami. Był martwy... Przez pięć miesięcy po śmierci sympatycznego pijaka zdawało się, że kwestja zastępcy na jego stanowisko nikogo nie interesuje.

Niekiedy już zaczynałem przypuszczać, że powzięto decyzję, aby pozostawić mię przy czynnościach, które faktycznie pełniłem. I oto dzisiaj ta niespodziewana nominacja!

Kapitan de Saint-Avis. W szkole Saint-Cyr należał do moich kolegów. Wkrótce straciłem go z oczu. Następnie zwrócił ogólną uwagę, przez nagłe zaawansowanie; otrzymał wówczas order, jako zasłużoną nagrodę za trzy, niezwykle owocne wyprawy, w celu zbadania Tibesti i Airu; i oto ten tajemniczy dramat, który miał miejsce podczas czwartej wyprawy, podjętej wraz z kapitanem Morhange, tej słynnej misji, z której jeden z badaczy nie powrócił.

O wszystkim jednak zapomina się szybko we Francji. Już sześć lat upłynęło od tego czasu.

Nie zdarzyło mi się później nic słyszeć o Saint-Avis. Sądziłem nawet, że wystąpił z wojska. I oto, spotykam go, jako swego zwierzchnika.

Wszystko jedno — myślałem sobie — ten, czy inny! W szkole był on niezmiernie miły i pozostawaliśmy przez cały czas w doskonałych stosunkach. Przytem, ja nie mam dostatecznych dochodów, aby zostać kapitanem...

Wyszedłem z biura pogwizdując.

C. d. n.



\*) List powyższy, jak również dołączony doń opieczętowany rękopis — porucznik Farriere powierzył wachmistrzowi Chatelain w dniu odjazdu swego do Tassili, zamieszkałej przez Tuaregów Azdzerów (w centralnej Saharze). Wachmistrz otrzymał polecenie oddania tego depozytu podczas pierwszego urlopu p. M. Leroux, honorowemu radcy dworu, najbliższemu krewnemu porucznika Farriere. Rękopis ten miał być wydrukowany po upływie 10 lat od daty złożenia go, jednakże z powodu z pewnych trudności termin ten uległ zwłoce i rękopis dopiero teraz mógł być wydany.

## Z BIBLIOTECZNYCH I KSIĘGARSKICH POŁEK.

*Juliusz Kaden:* „Łuk“. Powieść współczesna. Zanim podamy obszerniejsze sprawozdanie z najnowszej książki znanego pisarza, zaznaczamy po krótku, że „Łuk“ jest dziełem niecodziennej wartości i jedną z pierwszych książek odtwarzających obok „Charitas“ Żerowskiego, tło epoki, na jakiej, rozgrywały się wypadki początków wielkiej wojny. Wszystkie zalety pióra Kadena złożyły się na całość tej przykuwającej powieści: świetny sposób obrazowania, język soczysty i oryginalny, głęboka psychologia osób i wypadków i to niezmiernie oryginalne ujęcie całości, którą się czyta z wielkim zainteresowaniem.

Można się nie godzić na pewne tezy autora, można z pewną rezerwą odnosić się do czynów bohaterki, przyznać się jednak musi Kadonowi, iż umie świetnie raz obrany temat wyzyskać i przedstawić go w sposób przekonujący.

*Szymon Askenazy:* Przymierze polsko-pruskie. Wydanie trzecie, przejrzone i dopełnione. Warszawa 1919. E. Wende i Ska.

Profesor Askenazy należy do szczerzego grona poważnych historyków, posiadających obok głębokiej wiedzy i prawdziwy talent literacki. — Następnym tego talentu jest forma jego sumiennych studyów i dla szerszych kół zajmująca i pożądana, z czem idzie w nierozłącznej parze znacząca ich poczytność i popularność polskiego dziejopisa.

Charakterystyczne te cechy twórczości prof. Askenazego występują wybitnie i w arcy-ciekawej jego pracy, wspomnianej w tytule niniejszej notatki; pracy, która zawsze, a zwłaszcza dzisiaj winna cieszyć się skrupulatną i uważną lekturą, odświeżającą bowiem taktykę dyplomacji pruskiej w całej pełni, dając nam na wskrós przejrzyć i poznać jednego z największych nieprzyjaciół, najniebezpieczniejszych przeciwników.

Prof. Askenazy z ogromną plastyką i barwnością kreśli sylwetki Fryderyka Wielkiego i Fryderyka Wilhelma II.; cesarza Leopolda i Katarzyny II.; dyplomatów pruskich Hertzberga, Biszoffwerdera, Lucchesiniego i angielskiego Foxa, Burkego i Pitta młodszego; dalej Potemkina, Alopeusa i Woronkowa, że nie wspominamy innych.

Intrygi i komeraże dworskie; wpływy kochanek i morganatycznych małżonek romansowego niezwykle króla pruskiego; podjazdowe walki poszczególnych ministrów i dyplomatów pruskich, kaptujących sobie zwolenników czapką i papką, zwalczających się wz-

ajemnie, niezawsze w uczciwy sposób; wpływy przygodnych, zmieniających się często kochanków carowej Katarzyny, dostarczanych jej przez morganatycznego małżonka, fantazjowego ks. Potemkina, śniącego zrazu o koronie polskiej, z kolei o jakimś nowo-utworzonym państwie kozackim, czy jak je tam nazwiemy; dwuznaczna gra Rosji, Prus i Anglii, zwłaszcza Prus, najprzewrotniejszych z całej kompanji, w obec Polski, od której gwałtownie pragną otrzymać Toruń, Gdańsk i Wielkopolski bodaj skrawek — wszystko to występuje w pracy Askenazego z niezwykłą wyrazistością, bez zbytecznych w podobnych wypadkach osłonek i niedomówień.

Dopiero też na takie tło rzucone, nabiera właściwego zabarwienia przymierze polsko-pruskie, posiadające zrazu pozory szczerości, w rychłe jednak coraz jaskrawej okazujące właściwe oblicze naszego rzekomego przyjaciela.

Po przeczytaniu pracy polskiego uczzonego, stwierdzamy niedwuznacznie, jak ogromnie trudne, a bardzo poważne, z myślą jedynie o dobro państwa zajęte, było stanowisko reformy, doprowadzającego przebudowę Rzeczypospolitej do niezapomnianej konstytucji majowej.

Uwidoczniejszy sobie ówczesne położenie Europy i tarcia prusko-austriackie i prusko-rosyjskie; zabiegi Rosji i Prus o wpływy w Polsce; sojusze zmieniane przez Rosję, Anglię, Prusy, Austrię, Szwecję, Turcję, Francję niemal co kilka miesięcy, w których — jako wyrównanie — w znacznej liczbie wypadków służyć miały ziemie polskie i tureckie, innym okiem spoglądać niezawodnie zaczniemy na olbrzymią pracę polskich działaczy, odbijających groźące ciosy, usiłujących wyciągnąć ze wszystkiego jaknajpokaźniejsze zdobycze dla skołatanego państwa.

*Tadeusz Opióła:* „Czerwony Szał“. H. Altenberg i Ska, Lwów. Cykl obrazków i szkiców z własnych przeżyć autora w dobie „Czerwonego Szału“, barwnie i żywo opowiedziana historia „nowych haseł“ w Rosji, gdy po pierwszym rozkwicie ideowych haseł rewolucji, pękły złote sny o wolności, a „z ciemnych lochów Kremli“ wydobyto okrwawioną księgę praw, w której dzieje trzech wieków spisały propagandy różnorodnych sposobów rządzenia społeczeństwem“. — Precz z karą śmierci, precz z wojną!, precz z dyscypliną!, oto hasła, które zburzone dawny porządek, a które jakże rychło rozpadły się w proch, a czerwony terror zapanował wszechładnie.

W obrazkach p. t. „Rzeź żydów w

Płoskirowie“ — „Mirnyj zytiel“, czyli częste kłopoty mieszkańców Ukrainy“ — „Na progu nowego życia“. — „Wszystko dla rejonka“ — Wolność, „Równość, Braterstwo“, bezpretensjonalnych a opowiadanych z dużym zacięciem feljtonistycznym autor nietylko oprowadza czytelnika po krwią przesiąkniętej ziemi rosyjskiej, nietylko ukazuje mu grozą wstrząsające rzezie żydów w jednym miejscu, a panowanie rasy semickiej w innym, ale wskazuje nam przyczyny tego „czerwonego szału“, każąc zagłębić się wewnątrz krwią opitych przywódców ruchu bolszewickiego oraz w rozkładającą się już, gdyż jałem własnej zgnilizny zarażoną armję z czerwoną gwiazdą na czapce. Bardzo ciekawe informacje zawiera również książeczka T. Opióły o propagandzie i eksporcie bolszewizmu do Polski.

*Józef Lutosławski:* „Chleb i Ojczyzna“, Warszawa 1919. Wende i Spółka.

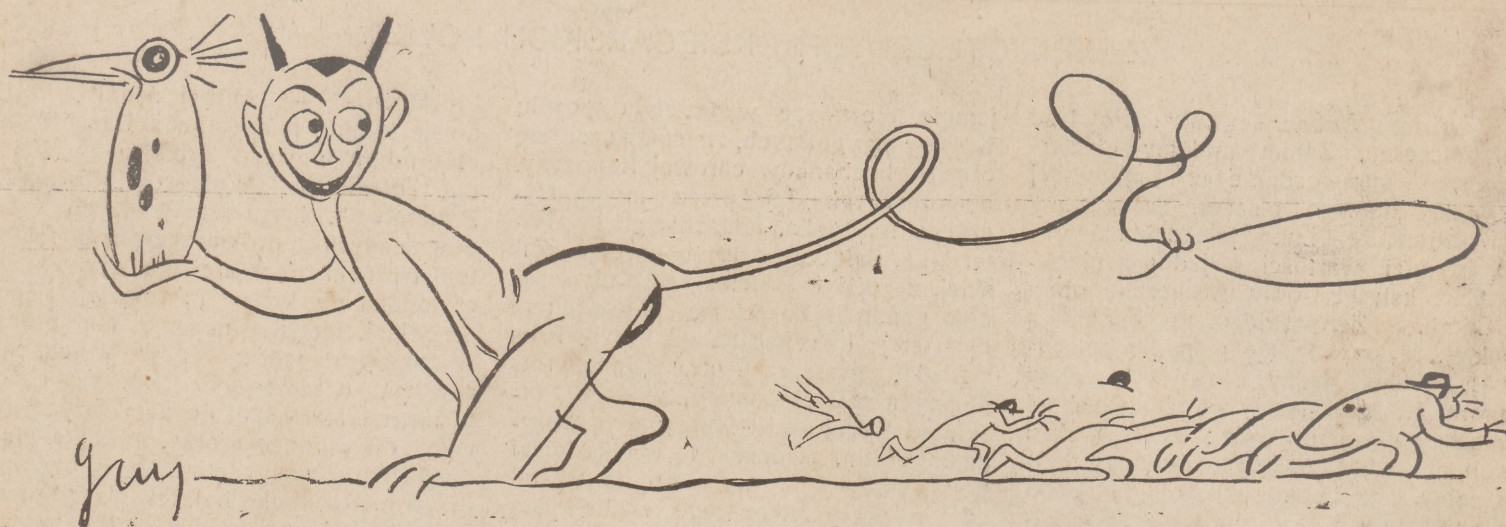
„Tym moim przyjaciołom, których nałóg umysłu wiąże w socjaliźmie, a serce już przeszło na łono Ojczyzny“. Temi słowy poświęca ś. p. autor pracę swoją, pisaną w Moskwie, w więzieniu Butyryńskim w maju 1918 roku, a więc jakby w przecuciu rychłej śmierci, która go spotkać miała, jak zemsta zbrodniarzy podczas masowej egzekucji, w rzędzie kilkudziesięciu innych „wrogów wolności“. Pamiętamy wszyscy, jakim bolesnym echem odbiła się ta wieść o śmierci obu braci, tych prawych synów Polski, w sercu narodo-wo uświadomionych obywateli kraju. To też z dziwnym wzruszeniem bierze się do ręki książkę p. t. „Chleb i Ojczyzna“, gdyż jest to niejako testament duchowy Lutosławskiego. Całą myśl jego pochłania zagadnienia ludzkie, tak tragicznie w Rosji rozwiązywane; walki socjalno-ekonomicznej pod tytułem „chleb“, którą widzi w stolicy Rosji, lecącej ze swoją cywilizacją w przepaść i wówczas występuje ze swoim sztandarem: „Ojczyzna“.

*Kazimierz Bukowski:* „Lwów w pieśni poetów lwowskich“. Antologia. Nakładem „Placówki“.

Bohaterska obrona Lwowa musiała naturalnie znaleźć wyraz w poezji przedewszystkiem lwowskich autorów, którzy niejednokrotnie brali czynny udział w walkach.

Poezje te zebrał w osobną antologję młody krytyk i poeta Kazimierz Bukowski.

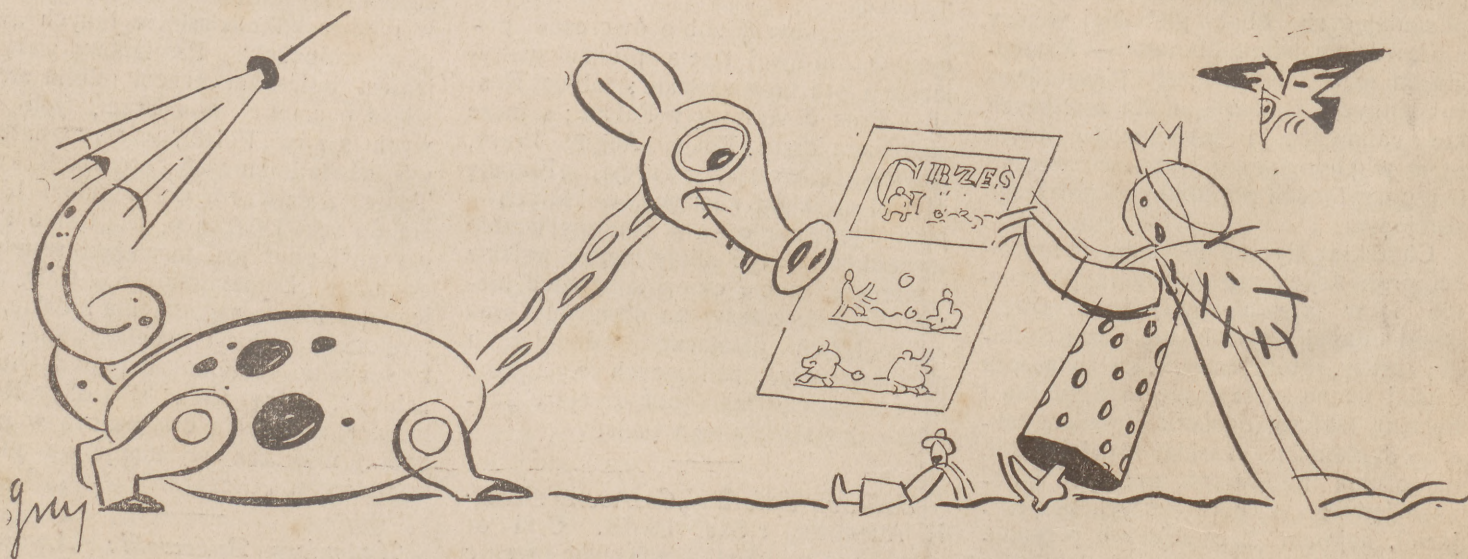
Antologia ta będzie kiedyś dla historyka Lwowa pewnego rodzaju dokumentem dziejowej chwili, dziś przeczyta ją chętnie każdy, by raz jeszcze w pieśni przeżyć najgłośniejsze chwile naszej wojny.



## „SZCZUTEK“ MÓWI:

Choć paskarz na mnie skowyczy,  
Choć już Warszawka się dąsa,  
Lecz każdy ze mną się liczy,  
Bo jestem ten, który kasa!!

Więc wszyscy w nogi tu masa,  
Wszyscy kto wbrew dewizie,  
Zarucę na was swe lasso,  
Bo jestem ten, który gryzie.



## DZIECI O „GRZESIU“

Jak wesoło, jak pogodnie —  
Cieszy się Manusia, Ceś,  
Kiedy raz na dwa tygodnie  
Przyjdzie z poczty „Grześ“.

O Kubusiu i Bubusiu  
Historyjki bawią wzrok:  
— Kup mi, proszę, kup mamusiu  
,Grzesia‘, kup na cały rok!